

Jubileusz Zuzanny Łozińskiej

KTOŻ NIE zna w Jeleniej Górze tej drobnej postaci eleganckiej, starszej pani, która często z siostrą daje się widzieć na ulicach i w sklepach miasta. Jeleniogórzanki pamiętają, że zawsze brylowała w stałe nowych, wykwinnych kapeluszach, ze smakiem skomponowanych z resztą kreacji, wszystko jednak lekko stonowane, w najlepszym stylu, świadczące o guście bez skazy.

Uderzające i wszyscy to podkreślają, że jest taka sama w zetknięciu z prostym człowiekiem, jak i z wielkim o światowej sławie reżyserem. Skromna pełna umiaru, serdecznością darzy wszystkich, którzy mają z nią jakkolwiek kontakt. Ten sposób bycia zjednuje jej całe rzesze wielbicieli. Nocny dozorca teatru powiedział na zebraniu wszystkich pracowników, że „drugiego takiego dobrego człowieka jak pani dyrektor — w ogóle nie ma na świecie”. Bo trzeba wiedzieć, że Jubilatce mówi się do dziś w teatrze per „pani dyrektor” choć dyrektorem była do roku 1950. Natomiast Henryk Tomaszewski, gdy wymawiała się wiekiem od roli w „Legendzie”, oświadczył, że: „bez Zuzi nie będzie „Legendy” w Jeleniej Górze”.

Więc grała skacząc po pomostach aż się kurzyło. Ale to jeszcze nic! Kiedy na próbie sztuki Witkacego „W małym dworku” spadła z szafy, wszyscy struchleli. Ale dostojna Jubilatka podniosła się, otrząsnęła i zapytała: No, czego się tak gapiacie? W „Peer Gyntcie” Ibsena, gdzie gra rolę Aasy, jest scena, w której aktor kreujący Peer Gynta uprawia dzikie harce nosząc Zuzannę Łozińską „na barana”. Gdy po raz pierwszy zajmowała tę pozycję, szepnęła: Rób ze mną, co chcesz — moje życie w twoich rękach.

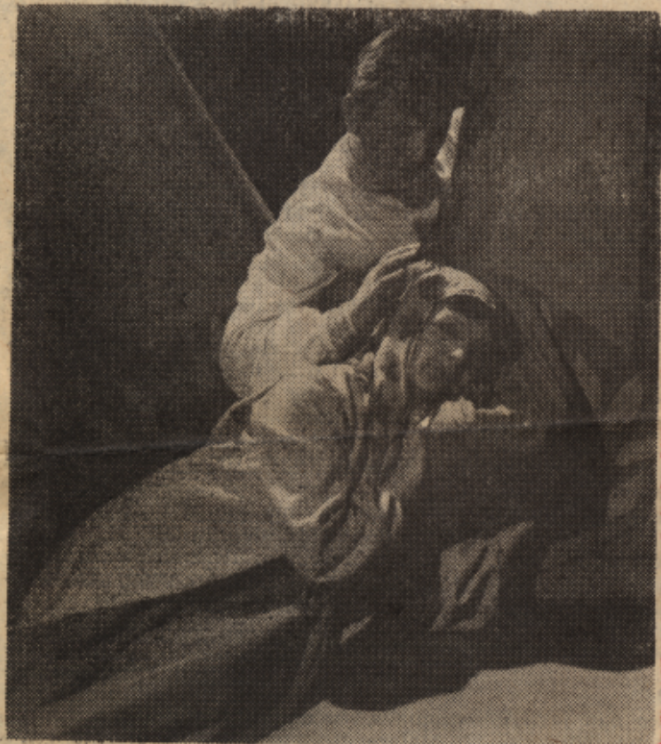
Wobec tych wyczynów wszystkie określenia w rodzaju: „zadziwiająco żywotna” czy „stała młoda”, są po prostu blade i nie oddające rzeczywistości. Jej talent ma sto barw i odcieni, ale nie czas jeszcze na jakieś ostateczne ich

wyliczanie, wszak nieustająco zasypuje nas wciąż nowymi kreacjami aktorskimi. Nie sposób oprzeć się wymienieniu takich ról, jak Babcia w „W czepku urodzona”, Orbanowa w „Zabawie w koty”, czy Bona w „Barbarze Radziwiłłównie”. W dwóch pierwszych mobilizowała wiarę w dobroć i szlachetność natury ludzkiej, tchnąc ze sceny ciepłem i serdecznością. Jako Bona wywoływała mrozące wrażenie kostycznej nieprzystępności, spotęgowane jeszcze tą charakterystyczną precyzją dykcji, jaką posługują się ci ze starej, dobrej szkoły aktorskiej. Jej koledzy, aktorzy, opowiadają, że tekstu uczy się z niezwykłą dokładnością, przepisując swą rolę z końcówką kwestii poprzednika, do specjalnego zeszytu. Tak akuratywny system pracy nie jest dziś regułą.

W niemal 30-letniej historii teatru w Jeleniej Górze nazwisko Zuzanny Łozińskiej występuje nieprzerwanie. Była tu dyrektorem, kierownikiem artystycznym, ale przede wszystkim reżyserem i aktorem. Tu warto zwrócić uwagę, że Jubilatka do niedawna konsekwentnie inscenizowała i reżyserowała przedstawienia dla dzieci. Wymienię choćby „Kopciuszka” z 1959 roku, „Stasia i Nell” z 1961 roku, czy niedawno „Dwa klony” i „Kłopoty zbója Madeja”.

Z okazji tego niezwykłego jubileuszu ukazują się w prasie i wydawnictwach okolicznościowych liczne mniej lub więcej dokładne biografie artystki. Uderza niezwykła intensywność jej życia przepelnionego twórczością, której starczyłoby na obdzielenie kilku artystycznych życiorysów. Swój werwą i nieustanną potrzebą działania, którą tryska na każdym kroku, przedstawia się nam jako człowiek, który umiał wiele z życia czerpać i zdołał jeszcze więcej dać innym.

WSPANIALEJ JUBILATCE ŻYCZYMY, ABY DALEJ I CIĄGŁE ZADZIWIŁA NAS SWĄ NIEZWYKŁOŚCIĄ.



Zuzanna Łozińska w roli Niestrudzonej w spektaklu „Dwa Klony”
Pot. St. Dukiewicz

(ar)